

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacja z angielskiego.

23)

Czyż mogłem teraz wyznać mu prawdę? Czy podobna było, abym ja, jego przyjaciel wierny, w wieńiec wawrzynowy, którym zdawał się już opasywać czoło, wplatał kolące ciernie?

— On pierwszy przerwał milczenie.

— Kasprzel — zawołał — czy widziałeś i słyszałeś kiedy coś podobnego? Czy można jej nie uwielbiać? Gdyby nie ona, wygwizdanoby „Franceskę”. Wiem o tem... Stwierdziłem to na przedstawieniu... A teraz mogę zostać sławnym... oho, sławnym! — ciągnął dalej, mówiąc raczej do siebie, niż do mnie. — Trzy miesiące temu oddałbym ostatnią kroplę krwi mojej, ażeby dosięgnąć szczytu sławy, a teraz, bez Klaryssy, sława wydawałaby mi się szyderstwem okrutnym. Czy sądzisz, że mogę mieć nadzieję... choćby tylko cień nadziei?

Co byłem w stanie na to odpowiedzieć?

Mgła zatamowała mi oddech w chwili, gdy usiłowałem wymruczeć jakieś słowa bez znaczenia i związku, a Tom, fałszywie tłumacząc sobie moje milczenie, wziął je za wyrok, odsądzający go od prawa do zdobycia wymarzonego szczęścia.

— Nie wierzysz?... Ma się rozumieć, że nie wierzysz w możliwość jakiegokolwiek nadziei... i masz zupełną słusność. Sukces mnie odurzył i upoił. Nie przywykłem do tak mocnego napoju!

Roześmiał się bolesnym śmiechem.

Poczem, zmieniając nagle humor, zdjął mi kapełusz i włożył swój na moją głowę.

— Zamienimy się na role — rzekł — na wzór Falstaffa i księcia Henryka, a ja przeczytam ci mowę, o próżności żąd ludzkich. Albo nie, zagraj mnie, ja zaś grać będę mego stryjaszka... mego biednego, pocziwego stryjaszka, a twego wuja. No, słuchaj, Kasprze, grać musisz!

— Dobrze. Jestem gotów — odpowiedziałem, żeby uczynić zadość jego żądaniu, uspokoić i odebrać od dręczącej go myśli.

— Brawo, znam cię ptaszku! Jesteś tak zwany Tomasz Loveday, nędzny autorzyna, marny literat!... I ty ośmielasz się podnieść oczy na istotę, której książęta przysyłają bukiety cudnych kwiatów? Jesteś smutnym Eadymionem. Dmiesz nieudolnie w trzcinową, kruchą piszczałkę i chciałbyś wrzaskliwymi jej tonami zmusić królowę, aby ci oddała swoje serce. Hańba ci za tak potworne szaleństwo!

W głosie jego, pomimo całej sztucznej wesołości, dźwięczało pełne rozpaczny szyderstwo. Słuchając go, czułem jak mi się serce rozdziera.

— Patrz-no, patrz! sukces pomieszał ci zmysły. Jesteś uosobieniem próżności bezwzględnej, i zarozumienia bez miary, i pychy bez granic. Tak, biedny szaleńcze, jesteś istnym Pigmalionem, nie zadawałniam się miłością swego utworu. Czy potrzeba ci było zakochać się w bóstwie, które wlało życie w twoje martwe dzieło? Nie do Galatei wdychałeś waryacie, lecz do Afrodyty! Nie do Franceski, lecz do... Ach!

Co się stało?

Ujrzałem jakiś kształt, wylaniający się jakby z pod stóp naszych — i Tomasza, który ręką chwycił się za piersi. Usłyszałem głoche uderzenie i prześnięcie, przez kogoś wygłoszone... i coś, jak krótkotrwały blask słabej błyskawicy, a gdy chciałem poskoczyć naprzód, Tomasz z tłumionym jękiem zwałił się w moje ramiona.

Chwila jedna... i wszystko to stało się nagle.

Gdy zaś objąłem ciało przyjaciela, aby go podtrzymać, a pomimo ciemności dostrzegłem na licu jego śmiertelną bladłość... ujrzałem również... ujrzałem, bez żadnej wątpliwości, w ciągu jednego mgnięcia oka... ujrzałem z pośród gęstej mgły wychylającą się twarz, dobrze mi znaną... którą wyróżniłbym między tysiącami innych... którą widzę ciągle we śnie i na jawie... której nie zapomnę, dopóki zgon nie pozbawi oczu moich wzroku, a mózg pamięci... twarz Szymona Collivera.

Zanim zdołałem rzucić się za nim, zanim nawet zdołałem krzyknąć, wzywając pomocy... twarz jego rozplynęła się w ciemnościach... i znikła.

ROZDZIAŁ VII.

W jaki sposób Klara wstąpiła do teatru i kiedy ujrzała kłamrę złotą.

Tom pasował się ze śmiercią.

Zeznań jego, odnoszących się do napadu, wysłuchała i spisała władza śledcza, on zaś je podpisał drżącą ręką. Przywołany lekarz zawyrokował, że niema dlań ratunku. Spoczywał więc na łóżku, gotując się do ostatniej walki, świadom, że musi skończyć się przegraną.

Sztylet o cal jeden ominął serce, lecz wewnętrzny krwotok zabijał go powoli. Wiedział, że nadzieja utrzymania go przy życiu stracona, a chociaż nie znał powodu podlego napadu, zadawał mi mało pytań. Z właściwą sobie dawną, dziecinną powagą, godził się z losem. Oczy jego, ile razy zwróciły się na mnie, wyrażały szczere, latami utrwalone, serdeczne przywiązanie.

Po urzędowym zeznaniu bezmyślnie może wymówił jej imię. Więc napisałem zaraz do Klary bilecik, o następującej treści: „Tomasz umiera, pragnie pomówić z tobą”.

Czekaliśmy na nią.

Siedziałem przy łóżku, trzymając w dłoniach moich rękę przyjaciela, sam pogrążony w myślach zbyt smutnych.

Wiedziałem, że Tom został ugodzony ciosem dla mnie przeznaczonym i że napad ostatni, równie jak poprzedni, po wyjściu z domu gry, pozostawał w związku z historią Wielkiego Rubinu i kłamry złotej. Jakoby nie była tajemnica, odnosząca się do niej, złota kobieta znać ją musiała. To ona prawdopodobnie uzbroidła w sztylet morderczy rękę Szymona Collivera. Przeklinałem z wściekłością lekko-myślnie wymówione przezemnie słowa w teatrze. Nie miały wprawdzie, jak mi się zdawało, żadnego głębszego znaczenia, lecz właśnie może sprawiły, że druh mój serdeczny padł ich ofiarą. Zamiana kapełuszy wywołała według wszelkiego prawdopodobieństwa pomyłkę Collivera, więc, prócz owych paru wyrazów, wyrzeczonych nieoględnie w łożu, nie miałem sobie nic do wyrzucenia. A jednak pociechy w tem przekonaniu znaleźć nie mogłem. Nie on, lecz ja powinienem był zginać. Dał życie za przyjaciela, który mu już przedtem zabrał ukochaną. Fałszywym zatem byłem i złym przyjacielem!

Przejęty straszną zgryzotą, chciałem moją rękę wysunąć z jego ręki, lecz wstrzymał mnie słaby uścisk i spojrzenie pełne wyrzutu. Więc dalej siedziałem przy nim. Oba rachowaliśmy upływające minuty, które oddzielały nas od chwili, w której Klara przybędzie... albo od śmierci.

Ktoś do drzwi zapukał.

Tom posłyszał pukanie. W oczach jego błysnęła isierka niewymownej radości. W odpowiedzi na to spojrzenie, położyłem delikatnie jego rękę na pościeli i poszedłem naprzeciw Klary.

— Dziękuję ci za tak spieszne przybycie! — wyszeptalem, witając ją w przedpokoju.

— Umiera?... Co się stało?

— Napad morderczy. Wczoraj wieczorem, gdy wyszliśmy z teatru, przebity został sztyletem przez nikczemnego zbrodniarza.

W wzroku jej malowało się pragnienie dowiedzenia się czegoś więcej, lecz zadowolili się jednym zapytaniem.

— Czy chciał mnie widzieć?

— Tak się zdaje... Nawet pewny jestem, że pragnie gorąco. Och, Klaro! mówiły to jego oczy, gdy posłyszał, że pukasz. Wszak wiesz dlaczego?...

Z powagą skinęła głową, szepcząc po cichu:

— Tak.

Po chwili namysłu rzekła:

— Przypuszczam, że lepiej nic nie mówić o...

— Tak — odpowiedziałem — stokroć lepiej. Jeśli za grobem jest świadomość o rzeczach ludzkich, to wkrótce dowie się o wszystkim.

Klara czas jakiś milczała.

— Tak, tak będzie lepiej — powiedziała wkońcu — Zaprowadź mnie do niego.

W chwili, gdy Klara zbliżała się do łóżka, usunąłem się nieco na bok, aby nie spotkać się z wzrokiem Tomasza. Widziałem, jak ją powitały jego oczy, płonące miłością i wdzięcznością, poczem zamknęły się powoli, jakby olśnione wizją szczęścia.

Z tklivą czułością pochyliła się nad nim Klara, ujmując rękę jego bezsilną. Twarz jej wyrażała szczere współczucie.

— Więc odwiedziłaś mnie, pani?! — rzekł umierający. — Niech cię za to Bóg błogosławi!

— Och, panie... nie uwierzysz, jak jestem zmar-twiona.

— Widziałem Kaspra, piszącego do pani, więc domyśliłem się, że cię tu wzywa... lecz nie śmiałem

cieszyć się nadzieją. Jestem... mocno osłabiony... i może zaraz odejdę z tego świata... a może wkrótce...

W odpowiedzi iza litości spadła na jego wybladłą rękę.

— Nie płacz, pani... Nie mógłbym znieść widoku twoich łez... To, co się stało, stało się dobrze. Miałem szalone nadzieje i szaleńsze jeszcze marzenia... lecz nie urzeczywistniłbym ich prawdopodobnie nigdy... nigdy. Teraz wiem, że z losem i przeznaczeniem borykać się już nie będę... Tak lepiej... lepiej!

Minutę lub dwie poruszały się jego wargi, nie słysząc jednak było, co mówił, czy co chciał powiedzieć.

Po chwili odpoczynku, rzekł z drżącym głosem:

— To tak pięknie ze strony pani... że tu przybyłaś... Białem się... białem... lecz jesteś dobra... ol bardzo dobra. Ty, pani, sprawiłaś wczoraj, że sztuka moja nie upadła... chociaż, dopóki nie ukazałaś się na scenie, chyliła się do upadku... Jednakże nie możesz... nie możesz mnie uchronić od śmierci...

Smutny uśmiech przesłiznął się po jego ustach.

— Tak lepiej, bo teraz mówić mogę i wybłagać przebaczenie. Czy pani wie dlaczego ujrzeć ją pragnąłem? Chciałem ci powiedzieć... przed śmiercią... Nie gniewaj się na mnie, ja wkrótce umrę... a umierającemu darować należy wszelką obrazę... więc jeśli wyznam, co mi leży na sercu... to mi przebac, Klarysso... i miej litość nademną...

Podniósł w górę błagające oczy i zrozumiał, że może mówić śmiało.

— Ja panią kochałem... tak, kochałem. Czy mi to możesz przebaczyć?... Wszakże teraz gniewać się nie będziesz...! Byłem szalony... szalony... bo kochałem! Kasprze, chodź tutaj!

Zbliżyłem się do łóżka.

— Powiedz jej, że ją kochałem... i proś o przebaczenie dla mnie. Powiedz, że kochałem bez nadziei... Powiedz jej to, Kasprze!

Nie mogąc znieść widoku jego oczu, błyszczących bezgraniczną ufnością, wyczerpany z sił ciężkim zmartwieniem, stałem nieruchomy, nie mogąc przemówić ani jednego słowa.

— Kasper jest zanadto wzruszony... aby mógł mówić. Powie pani później. I on także kocha... Nie widziałem nigdy jego narzeczonej... Mam nadzieję, że szczęśliwszy będzie odemnie... Przebac mi, pani moją szczerość... i nie dziw się jej, serce moje bowiem radość przepelnia... wielka... wielka radość...

Po krótkim milczeniu szeptał dalej:

— Pani nie zna Kaspra... On widział cię wczoraj i zachwycił się tobą... Któżby mógł nie zachwycić się panią?... Mam nadzieję, że przez pamięć na mnie, będziecie przyjaciółmi... Kasper jest moim jedynym przyjacielem...

Szary cień padł na białą twarz Tomasza — cień śmierci.

Tom zbliżanie się jej odczuć musiał, bo nagle podniósł się i oparty na łokciu, głośno niemal zawołał:

— Ach, jaki ja jestem samolub!... Czekają na panią w teatrze, więc idź już... idź... Wiem, że jak zawsze, grać będziesz cudnie... Jeśli nie możesz mi przebaczyć, to przynajmniej zapomnij, co powiedziałem...

— Och, dlaczego pan tak źle myśli o mnie?

— Więc przebaczasz?... Niechże cię Bóg za to błogosławi... niech cię Bóg błogosławi... Gdy tak... to błagam cię jeszcze o jedną łaskę... której mi, w swej nieskończonej dobroci, nie odmawiaj. Złóż na mych ustach pocałunek siostrzany... jeden tylko... umrę po nim szczęśliwszy. Czy chcesz... czy możesz...?

Oczy jego, pełne niegdyś uśmiechów, przykrywała śmierć kirem posępnym, a jednak wyczytać w nich można było prośbę namiętną.

Ukochana moja, z całą właściwą sobie powagą, pochyliła się nad nim i usta jej na sekundę spoczęły na jego ustach. Poczem, trzymając go wciąż za rękę, ukłękła przy łóżku.

— Dzięki... dzięki... nie zabraniasz mi kochać... kocham... odchodzę w szczęściu... czekają na panią w teatrze...

Klara podniosła się z klęczek i stojąc, słuchała ostatnich wyrazów, wyrwywających mu się z piersi z cichym jękiem:

— Czekają na panią... czekają... Kasprze, mój stary druhu... żegnam cię... i ciebie Klarysso żegnam także... Tam na panią czekają... ja nie przyjdę... przyjść nie mogę... Klarys...

Klara pochyliła się znowu nad nim i po raz wtóry stygnących ust jego dotknęła własnymi ustami. W pokoju zaległa głucha cisza.

Twarz Tomasza, wypogodzona spokojem śmierci, chociaż już nie żył, promieniała jeszcze wyrazem ekstazy miłosnej.